

Grzegorz Kozłowski

# Tylko polskie wino

**Grzegorz Kozłowski**

# **Tylko Polskie Wino**

© Copyright by Grzegorz Kozłowski & e-bookowo

Korekta: Patrycja Żurek

Projekt okładki: e-bookowo

ISBN 978-83-7859-481-9

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

[www.e-bookowo.pl](http://www.e-bookowo.pl)

Kontakt: [wydawnictwo@e-bookowo.pl](mailto:wydawnictwo@e-bookowo.pl)

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości

bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2015

## Gdzieś w Polsce

JÓZEK spojrział przez przeciekający dach domostwa, na poranne kwietniowe słońce. Przygrzewało coraz mocniej, konsekwentnie topiąc pozostałości niezbyt srogiej tegorocznej zimy, zalegające nad jego głową. Wyraźnie czuł, że nocny przymrozek ustępuje, gdyż śnieg, zamieniając się w wodę, bezlitośnie kapał do środka, przeganiał go z kąta w kąt i nie pozwalał spokojnie leżeć. Trochę zirytowany i mocno odrętwiały z trudem zwłókł się z legowiska. Rozmasowując obolałe biodro, zastanawiał się, jak długo będzie go jeszcze kulał, wszak od niefortunnego upadku na oblodzonej ulicy minęło już prawie cztery miesiące.

Rozmyślenia nad zdrowiem przerwało mu podejrzanе trzeszczenie dachu i wlewająca się do środka coraz większą strugą woda. Chcąc dokładniej się temu przyjrzeć, postanowił wpuścić do środka więcej światła. Zrobił trzy kroki w kierunku drzwi i otworzył je z charakterystycznym dla nich cichym skrzypnięciem. Cichym zapewne dlatego, że regularnie je smarował, gdyż ten dźwięk trochę go denerwował. Poranne słońce oslepilo go, przymrużył oczy, zaciągając się świeżym powietrzem i podziwiając nastającą wokół wiosnę. Obrócił się, ale nie odważył wejść głębiej, gdyż mocno obwisły dach dawał do myślenia. Nie trwało ono zbyt długo. Niestabilność konstrukcji i ciągła tymczasowość spowodowały, że spora część zawaliła się z łoskotem do środka, a Józek, wyskakując w ostatniej chwili za próg, uniknął przygniecenia, jeśli nie śmierci.

– Mam za swoje – pomyślał podnosząc się z mokrej ziemi.

Zaskoczony i lekko zszokowany, obserwując opadający pył, zastanawiał się, jak dokonać naprawy, miał żal do siebie, że tak długo zwlekał. Resztki zamokniętych desek, płyt wiórowych, papy i kawałków folii wymieszanych było bezładnie z większością tego, co posiadał i co akurat znajdowało się wewnątrz. Mamrocząc pod nosem, zabrał się do wynoszenia na zewnątrz dobytku, aby móc dokładnie przyjrzeć się temu, co było przyczyną katastrofy. Już po pobieżnym uprzątnięciu rumowiska, zorientował się, że naprawa dachu będzie trudna, jeśli nie niemożliwa. Trzymał w rękach pozostałości dwóch, z trzech szerszych, grubszych i dłuższych desek, które spełniały rolę krokiew. Czas nadgryzł je na tyle poważnie, że złamały się w pół i nic nie można było z tym zrobić, a przynajmniej nic nie mógł zrobić z tym Józek. Kantówek na podmianę nie miał, a tym bardziej nie wiedział, gdzie ich szukać. W przypływie złości pomieszanej z bezsilnością cisnął nimi w kąt. Usiadł zrezygnowany na skrzynce i sięgając głęboko do kieszeni sfatygowanych spodni, wyciągnął mocno zużyty dowód osobisty. Jakby zdziwiony znalazłkiem, chcąc się przekonać, czy rzeczywiście należy do niego, otworzył go i mamrocząc pod nosem, przeczytał:

– Józef Langner, średni, piwne, nie ma, urodzony... o ile potrafię jeszcze liczyć trzydzieści osiem lat temu.

Najbardziej jednak zaskoczyło go czarno-białe zdjęcie, z trudem potrafił się rozpoznać, nie mając jednak ochoty na rozczulanie, czym prędzej schował go do kieszeni, a z drugiej wyciągnął paczkę pogniecionych papierosów. Bez specjalnego zdziwienia doliczył się zaledwie siedmiu sztuk. Postanowił zapalić jednego. Długo szukał zapalek, modląc się, żeby nie były zamoknięte. Odnalazł je w nienaruszonym stanie w tej części schronienia, która się nie zawałiła. Zaciągając się nadpleśniałym tytoniem, rozmyślał, co ma zrobić.

Nie mieszkał tu od zawsze, cztery prowizoryczne ściany, przeciekający dach i parę sprzętów odziedziczył po poprzedniku. Nie wie, kim był, ani skąd pochodził, ale widział, jak go wynosili w pla-

stikowym worku. Potem przez parę dni przyglądał się, czy nikt się tu nie kręci i nie widząc chętnych do wprowadzenia, zrobił to sam. Nowy dom od razu mu się spodobał. Było tu znacznie spokojniej niż na dworcu kolejowym, gdzie spędził wcześniejsze dziewięć miesięcy. Teren oddalony był od ludzkich domostw i ruchliwych ulic, osłonięty drzewami, które otaczały go z trzech stron. Z czwartej, trochę poniżej, niewielkie zagłębienie w terenie wypełniał staw. Okalały go liczne szuwary i ścieżki wydeptane przez szukających ukojenia mieszkańców wielkiego miasta. Jako że jego wody z nieznanym nikomu przyczyn nie zamarzały nawet w zimie, to mnogie stada wodnych ptaków, dokarmiane przez spacerowiczów, nigdy go nie opuszczały. Zmianie ulegała jedynie liczebność i gatunki.

Rozważania Józka na temat trafności wyboru nowego miejsca do życia przerwało pojedyncze szczeknięcie psa. Ze zdziwieniem stwierdził, iż kundel stoi prawie na wprost niego, oddalony o nie więcej niż pięć metrów.

– Jak mogłem go nie zauważyć? – pomyślał, przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, po czym czworonóg ponownie dał głos.

– No, czego chcesz piesku? Pewnie patrolujesz teren i szukasz czegoś do zjedzenia.

Jakby na potwierdzenie słów psina szczeknęła powtórnie. Langner pogrzebał w rupieciach i wyciągnął zeschniętą skórkę chleba. Na jej widok pies początkowo zamarł w bezruchu, ale widząc uśmiech pojawiający się na twarzy dobroczyńcy, zaczął merdać ogonem. Złapał w locie rzucony chlebowy poczęstunek i zaczął gryźć, trzęsąc się przy tym jak galareta.

Przełykając, wygiął ciało w łuk i zamarł na moment w tej pozycji, jakby nie mogąc poradzić sobie z połknięciem tego, co przed chwilą gryzł, by po chwili powrócić do życia. Najwyraźniej zadowolony po raz czwarty szczeknął, chyba na odchodne, i pobiegł dalej. Józek, miał ochotę mu odpowiedzieć, ale nie znając psiego

języka krzyknął tylko:

– Cześć, piesku.

Poranek był na tyle późny, że i on poczuł się głodny. Miał jeszcze coś do zjedzenia, choć zapasów nie robił. Zarówno żywność, jak i jeden z najważniejszych sprzętów w domu, żelazna koza, nie uległy zniszczeniu. Czym prędzej nabierał chrustu pod rozłożystymi sosnami, poprawił zgiętą rurę pełniącą rolę piecowego kominu, rozpalił ogień i zagotował wodę na herbatę. Zjadł to, co miał, śledzie i dwie bułki. Popijając wszystko trzema kubkami gorzkiej herbaty, wysuszył spodnie. Najedzony i rozgrzany pomyślał, że być może załamany strop da się jakoś naprawić. Przechodząc trzy dni temu obok pobliskiego osiedla, zauważył, jak ktoś wyrzuca na śmietnik dwoje drzwi. Mogłyby zastąpić część połamanych desek i płyt wiórowych przykrywających do tej pory dach, bo na więźbę z pewnością się nie nadawały, ale tę mógłby zrobić z kilku dłuższych konarów z pobliskiego lasu.

– Tylko czy drzwi wciąż tam są? - nie dawało mu to spokoju.

Nie chcąc tracić czasu, ubrał się, i poczłapał w znanym kierunku. Po około dwudziestu minutach marszu dotarł na miejsce. Już z daleka zauważył drzwi oparte o jeden ze śmietnikowych kontenerów. Ucieszyło go to i zmartwiło jednocześnie, gdyż nie dostrzegł drugich.

– Jeśli ich tam nie ma, to nic mi po tych, które widzę – pomyślał.

Nerwowo zaczął rozglądać się wkoło.

– Gdzie mogą być? Przecież nie zapadły się pod ziemię – dobrze znał mieszkańców tych nowych osiedli, jeśli już coś wyrzucili, to nie zawracali sobie tym głowy i na pewno by po to nie wrócili. Tak jak ten dziecinny rowerek, o który właśnie się potknął i który mógłby sprzedać na skupie złomu, zostawił go jednak w spokoju.

Pomimo wysiłonego procesu myślowego, toczącego się w Józkowym umyśle i widocznego na twarzy, głowę wypełniała pustka. Przez chwilę pomyślał, że mógł je zabrać ktoś taki jak on, ale

mieszkając w tej okolicy od pół roku, nikogo takiego nie zauważył. Wreszcie pomyślał, że skoro nie ma ich przy śmietniku, to może są gdzieś w okolicy. Przeszukiwania terenu dały oczekiwany rezultat. Podnosząc je z ziemi zauważył, że w dwóch miejscach są przedziurawione na wylot. Na szczęście uszkodzenia nie były duże i nie dyskwalifikowały ich do roli, jaką przewidział nowy właściciel. Langner mógł się tylko domyślać, kto tego dokonał. Z ironicznym uśmiechem na twarzy powiedział do siebie:

– Młodość, dynamiczność.

Mając to, czego szukał, mógł się zająć przygotowaniem do transportu znaleziska. Niestety drzwi nasiąkły i okazały się cięższe niż przewidywał, dlatego zmuszony był taszczyć je pojedynczo. W tym celu obwiązywał je w połowie, częściowo za klamkę, długim grubym sznurem, zabranym ze sobą. Drugi, wolny koniec zarzucał na ramię i obarczony ciężarem ciągnął je na smyka. Zajęło to ponad dwie godziny.

Po dotarciu na miejsce Józek zrobił dłuższą przerwę, ale w granicach rozsądku, czas płynął nieubłaganie, a pracy do wykonania miał jeszcze dużo. Niestety przytaszczenie drugich drzwi zajęło znacznie więcej czasu niż za pierwszym razem, ale się udało. Podbudowany tym drobnym sukcesem, postanowił się napić. Na gotowanie herbaty szkoda było czasu, a i myśli wciąż krążyły wokół niedopitej butelki wina, z powodu męczącego kaca.

– Czy ocalała z porannej katastrofy? – zachodził w głowę. – Jak mogłem o niej zapomnieć? – pytał siebie.

Krótkie poszukiwania dały rezultat.

– Jest, uchowała się! – krzyknął z zadowolenia.

Usatysfakcjonowany swą przezornością, spojrział pod światło przez zielone szkło.

– Więcej niż połowa – rozpromienił się i haust ciemnego płynu spłynął w schorowane wnętrzości, dając chwilowe ukojenie. Drużba pociągnięcie było o wiele dłuższe i dało uwielbiany przez Józka



stan wyluzowania. Po trzecim przycupnął na starej kurtce w niezamkniętym kącie domostwa. Nie wypuszczając z rąk butelki, czuł, jak opuszczają go siły. Objął ustami szklaną szyjkę po raz ostatni wypijając resztki. Przez chwilę myślał jeszcze o tym, co chciał dzisiaj zrobić, ale nie miał już na to ni ochoty, ni czasu. Senność stała się silniejsza od porannych postanowień. Zasympiał i nic nie mógł na to poradzić.

KRZYŚ Bielecki siedział samotnie w pokoju, zastanawiając się nad zajęciem na najbliższe kilka godzin. Mama powiedziała, że był wczoraj nieposłuszny i za karę aż do kolacji będzie siedział w pokoju. Nie zdarzyło się to po raz pierwszy i właściwie nie rozumiał, dlaczego mama aż tak bardzo się złości, w końcu miał skończone dziewięć lat i włączenie się z kolegami po otaczającej osiedle domów jednorodzinnych i blokowisko okolicy, było dużo ciekawsze niż ślęczenie nad odrabianiem lekcji, czy bawienie się enerdowską kolejką taty. Wszystkie zabawki, jakie posiadał, wydawały się w tej chwili nudne i nie wywoływały takiego entuzjazmu jak w dniu ich otrzymania. Myślami był raczej przy komputerze, który mu obiecano, ale do komunii pozostało jeszcze kilka tygodni i rozmyślanie o nim wprawiało go w stan rozdrażnienia, który ciężko znosił. Chętnie pobawiłby się z młodszą siostrą, ale od urodzenia była chorowita, często jeździła z rodzicami do sanatorium, a gdy Krzyś miał cztery lata, umarła. Słabo pamiętał ten okres, ale któreś nocy słyszał, jak tato obiecywał mamie, że choć tak jak siostra ma słabe płuca, jemu nic nie grozi i tato nie dopuści, żeby i on też odszedł. Krzyś przyjął to za pewnik, w końcu tato był lekarzem i to chyba dobrym, bo bardzo długo pracował i leczył wielu ludzi. Szkoda tylko, że przez to miał tak mało czasu dla syna.

Malec dawno nie był u fryzjera i jego długa blond grzywka opadała do oczu. Dlatego położył się na wznak i podziwiał migoczące na ścianie pokoju promienie wiosennego słońca. Z tego dziecinnego nic nie robienia wyrwał go raban dochodzący z za okna. Pod-

szedł do szyby i zobaczył człowieka biegnącego wokół blokowego śmietnika. Przez chwilę się przyglądał, aby się upewnić, kto to.

– To pan Józek – powiedział wreszcie, uśmiechając się do okiennego szkła. Dobrze wiedział, gdzie mieszka i często go widywał, zwłaszcza ostatnio, chodząc zjeżdżać na sankach z pobliskiej góry.

Miejscowy waganat naciągał się z drzwiami znalezionymi koło śmietnika, dźwigając je na sznurku zarzuconym na ramię. Mocno przy tym narzekał na wagę i biadolił na bolące biodro. Krzyś odprowadził go wzrokiem. Minęły ze trzy godziny, w trakcie których grał na gameboyu i oglądał ulubione kreskówki w telewizji. Od czasu do czasu spoglądał z zazdrością przez okno na bawiących się na zewnątrz kolegów, pokazując im na migi, że nie może wyjść. Ku jego zaskoczeniu, ponownie dostrzegł pana Józefa prężącego się przy drugich drzwiach. Zaintrygowało go to. Dotychczas widywał zbierane przez niego butelki, złom i papier, czyli to, co da się spieniężyć. Burza myśli, jaka toczyła się teraz w głowie malca, znajdowała coraz to nowsze zastosowania znaleziska. Żadne nie wydawało się sensowne. Krzyś pomyślał więc, że nie zaszkodzi przeprosić mamę za psoty. Skutek był oczekiwany, jedząc wieczorny posiłek, mama oznajmiła, że odpokutował. Teraz mógł bez żadnych przeszkód wyjaśnić nurtujący go problem, wszak od szkoły miał jutro luz.

BYŁA sobota, dr Krzysztof Bielecki-Senior, miał więc wolne. Będąc człowiekiem bardzo zapracowanym, pomimo że z nawyku budził się wcześniej rano, teraz wylegiwał się beczynnym w łóżku. Od kilku lat prowadził prywatną praktykę lekarską, udzielając konsultacji z zakresu okulistyki oka, ale ostatnie cztery lata dały mu mocno w kość. Wtedy to wraz z kolegą, chirurgiem i anestezjologiem, Czarkiem Kusym, zdecydowali się na uruchomienie prywatnej kliniki okulistyki oka. Włożyli w interes mnóstwo pieniędzy i wysiłku, obaj się zadłużyli, ale od samego początku był to

strzał w dziesiątkę. Dużo pracowali, ale i też dużo zarabiali. Kilka miesięcy temu spłacili ostatnie wierzytelności za budynek kliniki i piekielnie drogie wyposażenie.

Ów sprzęt antagonizował ich przez dłuższy czas. Kusemu wydawał się zdecydowanie za drogi, wołałby coś tańszego, przynajmniej na początek, ale z czasem zmienił zdanie. Nie mówił już o nim, że to gadzety zmanierowanego doktora, bo to między innymi te zabawki pozwalały wykonywać operacje na najwyższym poziomie, a co za tym idzie przyciągały rzesze chorych, potrzebujących pomocy i gotowych zapłacić za to duże pieniądze.

Bieleckiemu pomaganie ludziom sprawiało szczególną radość.

– Pieniądze przyjdą same, trzeba tylko stawiać na najlepszy produkt – powtarzał Kusemu i jak dotąd nie mylił się ani trochę. Gáže były wysokie, a osobiste majątki, pomimo upływu tak krótkiego czasu, liczone w milionach. Żałował tylko, że nie potrafił przekonać do tego pierwszej żony Krystyny. Po śmierci córki popadła w depresję i zaczęła zarzucać mu, że to jego wina, że nie wystarczająco opiekował się rodziną, że myślał tylko o klinice i pieniądzach, a przecież jest lekarzem i powinien ratować córkę. Bolało go to, pomimo upływu czterech lat, od kiedy poprosiła o rozwód i odeszła. Ich syn pozostał z ojcem, co z kolei ubodło matkę. Był wręcz przekonany, że nienawidzi go za to, ale skoro nie odżywa się przez tyle lat... To może dała za wygraną.

Druga żona Seniora odwróciła się do niego twarzą, mówiąc:

- Cześć doktorku, jak się spało?
- U twego boku całkiem dobrze.
- Tylko dobrze? Myślałam, że także przyjemnie – odpowiedziała przekornie, robiąc minę niegrzecznej dziewczynki.

Leżeli tak przez dłuższą chwilę, patrząc, ona na siwiejące skronie, on na usta i gładkie policzki.

- Oczywiście, że dobrze i przyjemnie a przede wszystkim...

rozkosznie. Jesteś młodsza o jedenaście lat i twój wewnętrzny ogień potrafi palić się bardzo mocno – podsumował.

– Naprawdę? – skwitowała szczerym śmiechem.– Może w takim razie czegoś się napijemy, kawa czy herbata?

– Ja chcę mleko – odezwał się wchodzący w tej chwili do pokoju rodziców malec.

– A ty, młodszy, podsłuchiwałeś?

– Nigdy nie podsłuchuję, tylko... wracałem z łazienki i... usłyszałem jak rozmawiacie... o śniadaniu.

– Oczywiście Krzysiu, że rozmawiamy o śniadaniu – ponownie uśmiechnęła się Joanna.

KRZYŚ, przetykając wielkie kęsy kanapek, zrobionych na śniadanie, starał się nie zdradzić z zamiarami na dzisiejszy dzień. Myślni już od wczoraj był półtora kilometra od osiedla domków, zastanawiając się, czy zastanie pana Józka tam, gdzie ostatnio.

– Mamo, wiesz, że gotujesz całkiem smaczne mleko? – powiedział przymilnie.

– Dziękuję, Krzysiu – usłyszał w odpowiedzi.

– Naprawdę ci smakowało, czy też chciałbyś coś jeszcze? – pociągnęła mama.

– Nie, nie, a właściwie tak – powiedział malec, spoglądając w dno pustego kubka.

– Pomyślałem, że skoro domowe roгатki nie są już zamknięte, to może mógłbym pobawić się dzisiaj dłużej na dworze?

– Domowe roгатki? Krzysiu zdumiewasz mnie, znasz znaczenie takich słów?

– Znam.

– Skąd?

– Gdy ostatnio na imieninach taty był pan Kusy, słyszałem, jak

rozmawiali, że przed wjazdem do kliniki trzeba będzie zainstalować roгатki, a tato powiedział, że chyba raczej szlaban. Chyba dobrze zrozumiałem, że te słowa znaczą to samo.

Odpowiedzią mamy był tylko uśmiech.

– Czyli mogę, bo jeśli tak, to proszę jeszcze o trzy bułki z kiełbasianą okładziną, żebym nie był głodny – zakończył, triumfalnie odrzucając z czoła grzywkę.

Nim oszołomiona mama zdołała cokolwiek powiedzieć, chłopiec wbiegł już do pokoju uzupełnić zabawowy ekwipunek w nieodłączny składany wielofunkcyjny szczyroryk i kieszonkową lunetkę. Potem równie szybko zszedł na parter, ubrał się w kurtkę, kalosze i czapkę oraz zabrał podane bułki, o które prosił, ucałował mamę i obiecał, że wróci, jak zgłodnieje.

– Zauważyłeś, jaki jest sprytny? – powiedziała Joasia do stojącego w uchylonych drzwiach sypialni męża.

– Jeśli pytasz, czy wszystko słyszałem, to tak, ale oprócz sprytu jest również przebiegły i to coraz bardziej.

– Też tak uważam. Jeśli mocno czegoś pragnie, jego wypowiedzi są tak przemyślane, że nie mogę oprzeć się wrażeniu, jakby jeszcze przed ich wyrażeniem znał odpowiedzi.

– Sądzisz, że nadal będzie tak postępował?

– Nie wiem, ale jest w tym coraz lepszy, nie daj Boże, żeby został politykiem – skwitowała z uśmiechem Joanna.

TAKIEGO budzenia Langner nie przeżył od lat. Po wczorajszym wysiłku, zwieńczonym ulubionym drinkiem, spał bardzo mocno, tymczasem ktoś natarczywie szarpał go za rękaw. Przez zamglone oczy ledwo dostrzegął dziecięcą postać i dopiero kilkakrotnie wypowiedziane: – Józienia – uświadomiło mu, że to znany z sąsiedztwa chłopiec.

– Przestań mnie szturchać, już nie śpię – powiedział poiryutowany.